

Rozdział X

Czas po operacji rozpadł się na nierówne fragmenty, rozdzielone długimi okresami nieświadomości. Justyna dryfowała między snem a jawą, nigdy do końca nie budząc się, nigdy całkowicie nie zasypiając. Rejestrowana rzeczywistość skurczyła się do rozmiarów szpitalnego łóżka, dźwięku monitorów i nieustannego, pulsującego bólu głowy.

— Obrzęk mózgu — usłyszała któregoś dnia diagnozę doktora Birskiego. Mówił do kogoś stojącego obok jej łóżka, prawdopodobnie do Roberta. — To częsta reakcja po tego typu operacjach. Mózg reaguje na ingerencję chirurgiczną, tkanki puchną. Dlatego ból jest tak intensywny.

— Ile to może potrwać? — głos Roberta brzmiał pusto, wyczerpany.

— Trudno powiedzieć. Kilka dni, być może tydzień. Podajemy sterydy w kroplówkach, które powinny zmniejszyć obrzęk. Musimy być cierpliwi.

„Cierpliwi”... Dla Justyny to słowo straciło sens. Jak być cierpliwym wobec bólu, który pochłaniał całą jej istotę? Każdy oddech był walką, każda minuta wiecznością wypełnioną cierpieniem.

W drugim dniu po operacji gorączka wzrosła do 38,8 stopni. Jej ciało drżało, pociło się, a następnie zamarzało. Pielęgniarki zmieniały przesiąknięte potem prześcieradła po kilka razy dziennie. Zimne okłady na czole dawały tylko chwilową ulgę.

— To część procesu zdrowienia — zapewniał ją doktor Birski podczas obchodu. — Organizm walczy z urazem operacyjnym. Dajemy leki przeciwgorączkowe, ale one tylko łagodzą objawy. Musimy przeczekać, aż gorączka sama ustąpi.

Justyna przyjmowała te wyjaśnienia, nie mając siły na pytania czy wątpliwości. Najgorsze było to, że nie mogła zobaczyć twarzy ludzi, którzy się nią zajmowali. Jej wzrok nadal był zaburzony — obrazy rozmyte, falujące, często podwójne. Rozpoznawała ludzi po głosach, po zarysach sylwetek, po sposobie, w jaki się poruszali.

Trzeciego dnia po operacji, gdy ból stał się nie do zniesienia, Justyna zaczęła prosić o więcej leków.

— Błagam — wyszeptała do pielęgniarki, która sprawdzała jej kroplówkę. — Dajcie mi coś mocniejszego. Nie mogę tego wytrzymać.

— Już pani dostaje maksymalną dozwoloną dawkę — odpowiedziała kobieta ze współczuciem. — Więcej mogłoby zaszkodzić pani organizmowi. Przykro mi.

Justyna odwróciła twarz do ściany, pozwalając łzom płynąć swobodnie. Nie miała już siły na walkę, na dzielność, na optymizm. Niekiedy w najgorszych momentach żałowała, że przeżyła operację, że zgodziła się na nią. Czy nie lepiej byłoby odejść szybko, niż cierpieć tak bardzo?

Robert przychodził codziennie, siedział przy jej łóżku, trzymał ją za rękę. Ale z każdym dniem widać było, jak coraz trudniej znosi jej cierpienie. Jego twarz — nawet w jej rozmazanym widzeniu — wyglądała na wychudłą, bladą. Oczy zapadnięte, otoczone cieniami bezsennych nocy.

Czwartego dnia po operacji Justyna miała moment większej świadomości. Łukasz siedział przy jej łóżku, czytając książkę.

— Gdzie Robert? — zapytała, zauważając jego nieobecność.

Łukasz odłożył książkę, wyraźnie zaskoczony, że matka jest tak przytomna.

— Robert... to znaczy, Robert, pojechał do Zielonej Góry — odpowiedział po chwili wahania.

— Musiał coś załatwić w pracy.

Justyna widziała wystarczająco dobrze, by dostrzec, że jej syn unika jej wzroku. Kłamał. Albo przynajmniej nie mówił całej prawdy.

— Łukasz — powiedziała cicho, ale stanowczo. — Powiedz mi prawdę. Proszę.

Syn westchnął, pocierając dłonią zmęczoną twarz. Wyglądał starzej, dojrzalej, jakby w ciągu tych kilku dni wydorósł o lata.

— Robert... nie mógł na to patrzeć — przyznał w końcu. — Na twój ból, na to, jak cierpisz. Bał się tego: szpitala, cierpienia. Nie dał rady. To go przerasta. Załamał się. Powiedział, że potrzebuje kilku dni, żeby dojść do siebie, zebrać siły. Że wróci, jak tylko...

Urwał, ale Justyna i tak zrozumiała. Robert uciekł. Nie mógł znieść jej cierpienia, więc zostawił ją w najgorszym momencie. Ta myśl powinna ją zranić, ale dziwnym trafem poczuła tylko otępienie. Jakby jej mózg, już przeciążony bólem, odmówił przyjęcia kolejnej dawki cierpienia.

— Rozumiem — powiedziała po prostu. I w jakiś sposób naprawdę rozumiała. Nie każdy był w stanie patrzeć na to, co się z nią działo. Nie każdy miał siłę towarzyszyć komuś w takiej drodze przez piekło.

— Jestem zły na niego — przyznał Łukasz, a w jego głosie brzmiała tłumiona furia.

— Powinien tu być. Dla ciebie. Jak może...

— To w porządku — przerwała mu Justyna. — Naprawdę. Każdy ma swoje granice.

— Ale ty nie masz wyboru — powiedział gorzko Łukasz. — Ty musisz przez to przejść. A on...on po prostu uciekł.

Justyna zamknęła oczy, zbyt zmęczona, by kontynuować rozmowę. Wiedziała, że jej syn ma rację. To było tchórzostwo ze strony Roberta. Ale jednocześnie... czuła dla niego coś w rodzaju współczucia. Nigdy nie był tak silny, jak udawał. A ona sama? Czy miała wybór? Nie. Ale gdyby mogła uciec od własnego bólu, od własnego ciała, czy nie zrobiłaby tego?

Piątego dnia było jeszcze gorzej. Jej ciało zaczęło odrzucać pokarm, którego próbowano jej dostarczyć. Każda próba jedzenia kończyła się torturą wymiotów, które potęgowały ból głowy do niewyobrażalnych granic.

— Musimy ją odżywiać pozajelitowo — usłyszała decyzję lekarza. — W przeciwnym razie stracimy ją z powodu odwodnienia i wyczerpania.

Kolejna igła, kolejny wenflon, kolejny wąż dostarczający do jej organizmu coś, co miało utrzymać ją przy życiu. Justyna przestała liczyć, ile przewodów wychodziło z jej ciała, ile monitorów pikało wokół niej, ile razy dziennie pobierano jej krew do badań.

Szóstego dnia po operacji przyszła Dorota, kuzynka Ewy. Justyna usłyszała, jak wchodzi do sali, rozpoznając jej energiczny krok.

— Jak się dziś czujemy? — zapytała, siadając na krześle przy łóżku.

— My? — wyszeptała Justyna, próbując zażartować. — Ja się czuję jakby mnie przejechał pociąg, a potem cofnął, żeby upewnić się, że dokończył robotę.

Dorota zaśmiała się cicho.

— Humor ci wraca, to dobry znak — powiedziała, biorąc ją za rękę. — Rozmawiałam z doktorem Birskim. Mówi, że wyniki ostatnich badań są obiecujące. Obrzęk zaczyna ustępować.

— Naprawdę? — Justyna nie śmiała uwierzyć w te słowa.

— Naprawdę. Dlatego ból jest teraz tak intensywny. To paradoks — gdy obrzęk zaczyna schodzić, często ból jest silniejszy. Ale to dobry znak, to znaczy, że proces zdrowienia się rozpoczął.

Justyna zamknęła oczy, pozwalając, by ta informacja przeniknęła przez mgłę bólu i otępienia. Czy to możliwe? Czy naprawdę przechodziła przez najgorsze, a nie, jak się obawiała, dopiero zaczynała swoją drogę przez piekło?

— Ewa dzwoniła — kontynuowała Dorota. — Przekazuje uściski i przeprasza, że nie może przyjechać. Obiecała odwiedzić cię za tydzień, gdy wrócisz do mieszkania.

— Do mieszkania? — powtórzyła Justyna. — Myślisz, że tak szybko mnie wypuszczą?

— Jeśli poprawa będzie postępować w takim tempie, to doktor Birski wspominał o możliwości wypisu za około tydzień. Oczywiście pod warunkiem stałej opieki i regularnych kontroli.

Ta perspektywa wydawała się Justynie nierealna. Opuścić szpital? Wrócić do normalnego świata? Po tym wszystkim, co przeszła, szpital — mimo bólu i dyskomfortu — stał się jej całym światem, bezpieczną przystanią, gdzie zawsze ktoś czuwał, gdzie pomoc była na wyciągnięcie ręki.

— Boję się — przyznała cicho. — A co, jeśli znów będzie gorzej? Co, jeśli...

— Będziemy tuż obok — zapewniła ją Dorota. — Ja, Łukasz, Mateusz, inne pielęgniarki z mojego oddziału, które już się zapisały na dyżury przy tobie. Nikt nie zostawi cię samej.

O Robercie nie wspomniała ani słowem, a Justyna nie pytała. Gdzieś głęboko czuła, że ich związek, tak jak jej dawne życie, należał już do przeszłości. Operacja była granicą, po przekroczeniu której stała się kimś innym, a on pozostał po drugiej stronie.

Siódmego dnia po operacji Justyna obudziła się i od razu wiedziała, że coś się zmieniło. Ból głowy, który przez tydzień był jej stałym towarzyszem, zmniejszył się do tępego pulsowania. Nie zniknął całkowicie, ale stał się... znośny. Jakby ktoś zmniejszył intensywność tego cierpienia z dziesięciu do sześciu w dziesięciostopniowej skali.

Otworzyła oczy i ze zdumieniem odkryła, że widzi wyraźniej. Nadal nie idealnie — krawędzie przedmiotów były rozmyte, a kolory mniej intensywne niż zwykle — ale mogła rozróżnić szczegóły twarzy pielęgniarki, która właśnie weszła do sali.

— Dzień dobry — powiedziała kobieta z uśmiechem. — Jak się pani czuje?

— Lepiej — odpowiedziała Justyna, zaskoczona własnym głosem, który brzmiał silniej, pewniej. — Znacznie lepiej.

Pielęgniarka podeszła do jej łóżka, sprawdzając monitory i kroplówki.

— To widać — skomentowała z zadowoleniem. — Ma pani lepszy kolor, parametry się stabilizują. Obrzęk ustępuje, tak jak przewidywał doktor Birski.

Justyna spróbowała się unieść na łokciach — pierwszy taki ruch od tygodnia — i ku swojemu zdziwieniu odkryła, że potrafi. Jej ciało, choć słabe i wychudzone, znów zaczynało jej słuchać.

— Czy mogłabym... — zawahała się. — Czy mogłabym spróbować wstać? Na chwilę?

Pielęgniarka zawahała się.

— Muszę skonsultować to z lekarzem — odpowiedziała ostrożnie. — Ale jeśli on się zgodzi, pomogę pani. Małymi krokami, dobrze?

Justyna kiwnęła głową, nagle przepelniona nadzieją. Może, tylko może, najgorsze było już za nią?

Doktor Birski przyszedł godzinę później, po porannym obchodzie. Jego twarz — którą teraz widziała wyraźniej — wyglądała na zmęczoną, ale zadowoloną.

— Słyszę, że czuje się pani lepiej — powiedział, stając przy jej łóżku.

— Tak — potwierdziła Justyna. — Ból jest mniejszy, widzę wyraźniej. I chciałabym spróbować wstać.

Neurochirurg spojrzał na nią badawczo.

— Zobaczmy najpierw, jak pani reaguje na podstawowe badanie neurologiczne — powiedział, wyjmując z kieszeni małą latarkę. — Proszę śledzić światło oczami, bez poruszania głową.

Przez następne kilkanaście minut przeprowadził serię testów — sprawdzał jej refleksy, siłę mięśni, koordynację ruchową, pamięć. Justyna odpowiadała na pytania, wykonywała polecenia, czując rosnącą nadzieję, gdy widziała aprobatę w jego oczach.

— Imponujące — powiedział w końcu, odkładając swoje narzędzia. — Pani organizm regeneruje się szybciej, niż się spodziewałem. Obrzęk ustępuje, funkcje neurologiczne wracają do normy. Myślę, że krótka próba wstania, pod nadzorem pielęgniarki, jest możliwa.

— Dziękuję — powiedziała Justyna, nagle wzruszona. — Dziękuję za wszystko.

Doktor Birski uśmiechnął się lekko.

— To nie ja. To pani organizm wykonuje całą ciężką pracę. Ja tylko pomogłem mu pozbyć się przeszkody, którą był guz.

Birski wyszedł, a jego miejsce zajęła pielęgniarka, która pomagała Justynie podczas porannej wizyty.

— Gotowa? — zapytała, podchodząc do łóżka.

Justyna kiwnęła głową. Była gotowa. Bardziej niż kiedykolwiek.

Z pomocą pielęgniarki powoli usiadła na łóżku, przesunęła nogi na bok i ostrożnie zsunęła stopy na podłogę. Pierwsze uczucie było dziwne — jakby jej ciało nie należało do niej, jakby musiała na nowo nauczyć się, jak nim sterować. Nogi miała słabe, drżące po tygodniu bezruchu.

— Powoli — instruowała pielęgniarka, podtrzymując ją mocno. — Najpierw niech pani przyzwyczai się do pozycji siedzącej. Potem spróbujemy wstać.

Justyna siedziała na brzegu łóżka, czując, jak krew odpływa jej z głowy. Przez chwilę wszystko wirowało, a ona bała się, że zemdleje. Ale uczucie minęło, a świat znów się ustabilizował.

— Dobrze — powiedziała po minucie. — Chcę spróbować wstać.

Pielęgniarka pomogła jej podnieść się powoli, nadal mocno ją podtrzymując. Justyna stanęła na chwiejnych nogach, czując jakby dopiero uczyła się chodzić. Ale stała. Po tygodniu leżenia w łóżku, po operacji mózgu, po wszystkim, co przeszła — stała.

— Zrobiłam to — wyszeptała, nagle przepełniona dumą z tego prostego osiągnięcia.

— Zrobiła pani to — potwierdziła pielęgniarka z uśmiechem. — Chce pani spróbować zrobić krok?

Justyna kiwnęła głową. Ostrożnie, opierając się mocno na ramieniu pielęgniarki, przesunęła jedną stopę do przodu. Potem drugą. I znów pierwszą. Trzy kroki. To było wszystko, na co mogła się zdobyć, zanim poczuła, że siły ją opuszczają. Ale to wystarczyło. Chodziła.

— Myślę, że na dziś to wystarczy — powiedziała pielęgniarka, pomagając jej wrócić do łóżka.
— Ale jutro spróbujemy znowu. Może uda się dojść do łazienki?

Jutro. To słowo nagle nabrało nowego znaczenia. Już nie była to groźba kolejnego dnia wypełnionego bólem i cierpieniem, ale obietnica. Obietnica kolejnego małego kroku ku zdrowieniu, ku normalności, ku życiu.

Gdy pielęgniarka wyszła, Justyna leżała na łóżku, wpatrując się w sufit. Po raz pierwszy od operacji poczuła coś innego niż ból i strach. Poczuła nadzieję. Prawdziwą, namacalną nadzieję, że może wygrać tę bitwę. Że może wrócić do świata żywych. Że może mieć przyszłość, o której marzyła.

Ten dzień, siódmy po operacji, miał stać się w jej pamięci punktem zwrotnym. Dniem, w którym jej długa podróż przez mrok zaczęła kierować się ku światłu.

Rozdział XI

Ósmego dnia po operacji Justyna obudziła się z nowym bólem. Tym razem nie w głowie, która — choć wciąż pulsowała tępy, przytłumionym dyskomfortem — zdawała się wreszcie dawać jej chwilę wytchnienia. Nie, ten ból był inny, zlokalizowany znacznie niżej, intymny i upokarzający.

Pierwszy raz zauważyła to poprzedniego dnia, gdy pielęgniarka pomagała jej skorzystać z toalety. Najpierw lekkie pieczenie przy oddawaniu moczu, które zlekceważyła, myśląc, że to tylko skutek uboczny długotrwałego leżenia i cewnika, który miała przez pierwsze dni po operacji. Ale w nocy dyskomfort nasilił się, a teraz, rano, czuła już nie tylko pieczenie, ale i intensywne szczypanie, które sprawiało, że każda wizyta w łazience stawała się małą torturą.

Kiedy około dziewiątej zobaczyła, jak pielęgniarka wchodzi do jej sali z torbą kroplówki wypełnioną przezroczystym płynem, Justyna poczuła nagły skurcz strachu. Czy to możliwe, że sterydy, które pomagały zwalczyć obrzęk mózgu, powodowały ten nowy, wstydlivy problem?

— Dzień dobry — przywitała się pielęgniarka z uśmiechem. — Jak się dziś czujemy?

— Głowa lepiej — odpowiedziała Justyna, starając się brzmieć normalnie. — Ale...

Zawahała się, zażenowana tym, co musiała powiedzieć. Całe życie była osobą dyskretną, zwłaszcza jeśli chodziło o sprawy intymne. Ale szpital skutecznie pozbawiał człowieka wszelkich złudzeń co do prywatności.

— Ale? — pielęgniarka uniosła brew, podłączając kroplówkę do stojaka.

— Mam... problem — powiedziała cicho Justyna. — Przy oddawaniu moczu. I właściwie... nie tylko przy tym. Czuję straszne pieczenie i szczypanie... tam na dole.

Pielęgniarka pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Drożdżycy pochwy? — zapytała rzeczowo, bez śladu zażenowania. — To częsta reakcja na sterydy i antybiotyki. Osłabiają naturalną mikroflorę i umożliwiają rozwój grzybów.

Justyna poczuła, jak jej policzki czerwienieją. Nigdy wcześniej nie miała tego typu problemów.

— Chyba tak — przyznała. — To naprawdę bardzo niekomfortowe. Ledwo wytrzymuję.

— Zrozumiałe — pielęgniarka skończyła podłączać kroplówkę i sprawdziła prędkość przepływu. — Powiem lekarzowi prowadzącemu. Przepisze pani leki przeciwgrzybicze. A na razie mogę przynieść maść, która przyniesie ulgę.

— Dziękuję — wyszeptała Justyna, wdzięczna za profesjonalizm kobiety, która traktowała jej problem jak każdy inny medyczny przypadek, bez zawstydzania jej.

— Nie ma za co — odpowiedziała pielęgniarka, uśmiechając się pokrzepiająco. — W szpitalu nie ma miejsca na wstyd. Wszyscy jesteśmy ludźmi, z ludzkimi problemami.

Gdy pielęgniarka wyszła, Justyna przez chwilę leżała, wpatrując się w sufit. Pomyślała o wszystkich upokorzeniach, które przeszła w ostatnich tygodniach. O obnażeniu — fizycznym i psychicznym — które było nieodłączną częścią bycia pacjentem. O wszystkich obcych

dłoniach, które dotykały jej ciała, myjąc je, badając, lecząc. O wszystkich intymnych czynnościach, które musiała wykonywać w obecności innych lub z ich pomocą.

A jednak... czy było w tym coś naprawdę zawstydzającego? Czy nie była to po prostu część bycia człowiekiem — istotą fizyczną, kruchą, podatną na zranienie i chorobę?

Przed chorobą Justyna, jak większość ludzi, unikała myślenia o własnej śmiertelności, o granicznych doświadczeniach ludzkiego ciała. Ale teraz? Teraz miała wrażenie, że przeszła na drugą stronę, gdzie takie tematy jak śmierć, choroba, brudne i upadające aspekty ludzkiego ciała, nie były już tabu. Były po prostu częścią życia.

Pielęgniarka wróciła po kilkunastu minutach z tubką maści i tabletkami.

— Doktor Nowak przepisała pani flukonazol doustnie i maść z klotrimazolem do stosowania miejscowego — wyjaśniła, kładąc leki na szafce obok łóżka. — Powinno pomóc w ciągu kilku dni. A jeśli pani chce, mogę pomóc przy pierwszej aplikacji.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała szybko Justyna. — Poradzę sobie.

— Jak pani woli — pielęgniarka nie wydawała się urażona. — A, i mam jeszcze jedną wiadomość. Za pół godziny przyjdzie do pani doktor Wiśniewski z oddziału rehabilitacji. Doktor Birski zlecił konsultację i rozpoczęcie wczesnej rehabilitacji ruchowej.

— Rehabilitacji? — Justyna była zaskoczona. — Tak szybko?

— Im wcześniej, tym lepiej — wyjaśniła pielęgniarka. — Organizm szybciej wraca do sprawności, gdy zaczynamy rehabilitację odpowiednio wcześnie. Oczywiście wszystko w granicach rozsądku, z uwzględnieniem pani stanu.

Trzydzieści minut później, gdy Justyna zdążyła już zastosować przynoszącą ulgę maść i połknąć tabletkę przeciwgrzybiczą, do jej sali zapukał młody mężczyzna. Był wysoki, szczupły, z przyjaznym uśmiechem i pewnymi ruchami sugerującymi sportowe doświadczenie.

— Dzień dobry, pani Justyno — przywitał się, wchodząc. — Jestem doktor Adam Wiśniewski z oddziału rehabilitacji. Doktor Birski poprosił mnie o konsultację i zaplanowanie dla pani programu rehabilitacyjnego.

Justyna kiwnęła głową, przyglądając się młodemu lekarzowi. Wyglądał na zaledwie trzydzieści kilka lat, ale jego spojrzenie było pełne profesjonalizmu i pewności siebie.

— Czy to nie za wcześnie? — zapytała szczerze. — Dopiero wczoraj udało mi się zrobić kilka kroków z pomocą pielęgniarki.

Doktor Wiśniewski usiadł na krześle obok jej łóżka.

— To właśnie najlepszy moment, by zacząć — powiedział z uśmiechem. — Pani mózg przechodzi teraz proces intensywnej reorganizacji po operacji. Neuroplastyczność jest na najwyższym poziomie. To idealny czas, by zacząć odbudowywać dawne połączenia nerwowe i tworzyć nowe.

Justyna nie do końca rozumiała te naukowe terminy, ale zaufała pewnemu tonowi lekarza.

— Co będziemy robić? — zapytała, uświadamiając sobie, że naprawdę chce odzyskać sprawność, wrócić do normalnego życia.

— Na początek coś prostego — odpowiedział, wstając. — Spróbujemy przejść od łóżka do łazienki i z powrotem. Potem kilka prostych ćwiczeń, które będzie pani mogła wykonywać sama. Chodzi o to, by stopniowo przywracać siłę mięśni i koordynację ruchową.

Pomógł jej usiąść na brzegu łóżka, tak jak dzień wcześniej robiła to pielęgniarka. Tym razem zawroty głowy były mniejsze, a uczucie słabości nie tak przytłaczające.

— Świetnie — pochwalił ją, gdy siedziała stabilnie. — Teraz spróbujemy wstać. Będę panią podtrzymywał, ale proszę starać się utrzymać własny ciężar ciała.

Z jego pomocą Justyna powoli wstała. Nogi wciąż miała słabe, ale zauważyła, że drżą mniej niż poprzedniego dnia. Stała pewniej, stabilniej.

— Doskonale — powiedział doktor Wiśniewski, nadal podtrzymując ją za łokieć. — A teraz zrobimy kilka kroków w kierunku łazienki. Powoli, bez pośpiechu.

Justyna skupiła się na zadaniu. Krok za krokiem, ostrożnie przesuając stopy po podłodze, ruszyła w stronę łazienkowych drzwi. Czuła się, jakby uczyła się chodzić od nowa — każdy ruch był świadomy, niepewny, wymagający koncentracji.

— Dlaczego to takie trudne? — zapytała, gdy byli w połowie drogi, a ona już czuła zmęczenie.
— Przecież chodziłam całe życie.

— Bo teraz musi pani na nowo nauczyć mózg, jak koordynować te ruchy — wyjaśnił cierpliwie lekarz. — Operacja, obrzęk, leki, długotrwałe unieruchomienie — wszystko to wpływa na funkcje neurologiczne odpowiedzialne za poruszanie się. Ale nie martwi się pani. Mózg jest niezwykle plastyczny. Szybko sobie przypomni.

Dotarli do łazienki. Justyna wsparła się o umywalkę, patrząc w lustro nad nią. Po raz pierwszy od operacji widziała swoją twarz wyraźnie, bez rozmycia spowodowanego zaburzeniami wzroku.

Prawie się nie rozpoznała. Wyglądała jak cień samej siebie — blada, wychudzona, z podkrążonymi oczami i ogoloną głową, na której teraz widniał wielki opatrunek. Ale wciąż miała swoje oczy — duże, piwne, otoczone długimi rzęsami, które jakimś cudem przetrwały cały ten koszmar. I usta — które pomimo bladości nadal zachowywały swój kształt dzięki makijażowi permanentnemu.

— To wciąż ja — wyszeptęła, bardziej do siebie niż do lekarza.

— Oczywiście, że to pani — odparł z uśmiechem doktor Wiśniewski. — Tylko trochę zmęczona i wychudzona. Ale to się zmieni. Za kilka tygodni, gdy wróci pani do domu, do normalnego jedzenia i aktywności, znów będzie pani wyglądać jak dawniej. A włosy odrosną.

Justyna kiwnęła głową, wciąż wpatrując się w swoje odbicie. Chciała mu wierzyć. Naprawdę chciała.

— Wracamy? — zapytał łagodnie po chwili.

— Tak — odpowiedziała, odrywając wzrok od lustra.

Droga powrotna do łóżka wydawała się trudniejsza. Nogi Justyny drżały coraz bardziej, a oddech stał się płytki i przyspieszony. Ale determinacja była silniejsza niż zmęczenie. Krok za krokiem, wspierana przez lekarza, dotarła z powrotem do łóżka i z ulgą usiadła na jego brzegu.

— Świetnie pani sobie poradziła — pochwalił ją doktor Wiśniewski z autentycznym uznaniem.

— To naprawdę imponujące, biorąc pod uwagę, że dopiero tydzień minął od operacji.

— Dziękuję — odpowiedziała Justyna, dysząc lekko. — To było... cięższe, niż się spodziewałam.

— To normalne — zapewnił ją. — Z każdym dniem będzie łatwiej. Mięśnie odzyskają siłę, koordynacja się poprawi. Jutro przyjdę znowu i spróbujemy zrobić kilka dodatkowych ćwiczeń.

Zanim wyszedł, pokazał jej jeszcze kilka prostych ćwiczeń, które mogła wykonywać w łóżku — zginanie i prostowanie stóp, rotację nadgarstków, delikatne skręty szyi. Wszystko to miało pomóc jej organizmowi przypomnieć sobie, jak działa, jak się porusza, jak funkcjonuje.

— Proszę pamiętać, że rehabilitacja to maraton, nie sprint — powiedział na pożegnanie. — Każdy mały postęp jest zwycięstwem. Nie poddawać się, nawet jeśli czasem wydaje się, że stoimy w miejscu.

Gdy wyszedł, Justyna poczuła się dziwnie ożywiona. Spotkanie z młodym lekarzem, ta krótka przechadzka do łazienki, widok własnej twarzy w lustrze — wszystko to było dla niej dowodem, że powoli wraca do świata żywych. Że jest coś poza bólem, poza upokorzeniem choroby, poza strachem.

Późnym popołudniem przyszedł doktor Birski na obchód. Justyna zauważyła, że jego spojrzenie było bardziej ożywione niż zwykle, a na twarzy gościł lekki uśmiech.

— Słyszałem, że zaczęła pani rehabilitację — powiedział, stając przy jej łóżku. — Doktor Wiśniewski jest pod wrażeniem pani determinacji.

— Naprawdę? — Justyna poczuła, jak jej policzki się czerwienią. Komplement od młodego, przystojnego lekarza rehabilitacji dziwnie ją poruszył.

— Absolutnie — potwierdził Birski. — A ja jestem pod wrażeniem tego, jak szybko pani organizm dochodzi do siebie po operacji. Obrzęk mózgu ustępuje szybciej, niż się spodziewałem, parametry są coraz lepsze...

Urwał, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Coś nie tak? — zapytała Justyna, zaniepokojona.

— Wręcz przeciwnie — odpowiedział, a jego uśmiech się poszerzył. — Mam dla pani dobre wieści. Dziś rano dostaliśmy wyniki badania histopatologicznego guza.

Justyna wstrzymała oddech. To było to — chwila prawdy. Czy guz był złośliwy? Czy będzie potrzebować dalszego leczenia? Chemioterapii? Radioterapii? Czy w ogóle było dla niej jakieś "dalej"?

— I? — zapytała cicho, bojąc się odpowiedzi.

— Wyniki są lepsze, niż się spodziewaliśmy — odpowiedział Birski, a jego twarz rozjaśniła się jeszcze bardziej. — To nie był glejak wielopostaciowy czwartego stopnia, jak pierwotnie podejrzewano, ale gwiazdziak włosatokomórkowy drugiego stopnia. Znacznie mniej agresywny typ nowotworu. A co najważniejsze, udało nam się go usunąć w całości, z czystym marginesem zdrowej tkanki.

Justyna patrzyła na niego, nie do końca rozumiejąc implikacje.

— Co to... co to oznacza? — zapytała, bojąc się uwierzyć w swoje przecucia.

Doktor Birski położył dłoń na jej ramieniu — pierwszy tak osobisty gest z jego strony.

— To oznacza, pani Justyno, że rokowania są bardzo dobre. Pani szanse na całkowite wyzdrowienie i długie życie są bardzo wysokie.

Życie. Długie życie. Te słowa zabrzmiały w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka. Poczwała, jak łzy napływają jej do oczu, jak spływają po policzkach. Łzy ulgi, szczęścia, niedowierzania.

— Naprawdę? — wyszeptała, nie ufając własnemu głosowi. — To nie pomyłka?

— Naprawdę — potwierdził Birski z ciepłym uśmiechem. — Oczywiście, będziemy prowadzić regularną obserwację. Badania kontrolne co kilka miesięcy przez pierwsze dwa lata, potem rzadziej. Ale na tę chwilę wszystko wskazuje na to, że wygrała pani swoją bitwę.

Justyna nie próbowała powstrzymywać łez. Płynęły swobodnie, zmywając miesiące strachu, rozpacz i cierpienia. Czwała się, jakby wielki ciężar, który nosiła na barkach od czasu diagnozy, nagle zniknął.

Miała przyszłość. Prawdziwą przyszłość, nie te kilka miesięcy, które jej wcześniej wróżono. Mogła planować, marzyć, mieć nadzieję. Mogła zobaczyć, jak Łukasz zakłada rodzinę, mogła poznać swoje wnuki, mogła wrócić do pracy, do normalnego życia.

— Dziękuję — powiedziała przez łzy, ściskając dłoń doktora Birskiego. — Dziękuję za to, że nie bał się pan spróbować. Za to, że dał mi pan szansę, gdy inni nie chcieli.

Birski pokręcił głową.

— To był przywilej, móc pani pomóc — odpowiedział szczerze. — I przypomnienie, dlaczego w ogóle zostałem lekarzem. Dla takich momentów jak ten.

Gdy wyszedł, Justyna leżała nieruchomo, pozwalając, by świadomość jego słów w pełni do niej dotarła. Życie. Przyszłość. Normalność. Te słowa, które jeszcze kilka miesięcy temu brała za pewnik, teraz wydawały się najcenniejszym darem.

Wieczorem zadzwoniła do Łukasza, by podzielić się dobrymi wieściami. Słyszając, jak głos jej syna łamie się ze wzruszenia, gdy przekazywała mu diagnozę Birskiego, przypomniawszy sobie wszystko, przez co przeszedł, by jej pomóc, by dać jej nadzieję. Jak próbował sprzedać swoją firmę, by sfinansować jej leczenie. Jak nigdy nie zwątpił, nawet gdy ona sama traciła wiarę.

— Zawsze wiedziałem, że wyzdrowiejesz, mamo — powiedział, gdy już się uspokoił.

— Od samego początku.

— Wiem, kochanie — odpowiedziała, a jej serce przepełniało ciepło. — Ty zawsze wierzyłeś, nawet gdy ja nie potrafiłam.

— Kiedy wracasz do domu? — zapytał. — Mogę przyjechać po ciebie, gdy tylko lekarze pozwolą.

Justyna zawahała się. Do domu. Ale do którego? Do Zielonej Góry, gdzie był salon kosmetyczny, ale też Robert, który ją opuścił w najtrudniejszym momencie? Czy do Bydgoszczy, gdzie znalazła nowe wsparcie, nowych przyjaciół, może nawet nowy początek?

— Jeszcze nie wiem — odpowiedziała szczerze. — Doktor Birski mówi, że może za tydzień, dwa, jeśli wszystko będzie dobrze. Ale najpierw muszę odzyskać siły, nauczyć się znowu chodzić, funkcjonować.

— Rozumiem — powiedział Łukasz. — Cokolwiek zdecydujesz, będę przy tobie.

I... — zawahał się. — Chyba powinnaś wiedzieć, że Robert dzwonił. Pyta o ciebie, czy może przyjechać.

Justyna zamknęła oczy. Robert. Mężczyzna, którego kochała. Który kochał ją. Ale który nie potrafił znieść widoku jej cierpienia. Czy to była jego wina? Czy można winić kogoś za to, że nie ma w sobie takiej siły?

— Przekaż mu, że jeszcze potrzebuję czasu — odpowiedziała po chwili. — Że na razie skupiam się na powrocie do zdrowia. A potem... potem zobaczymy.

Odkładając telefon, Justyna poczuła dziwny spokój. Po raz pierwszy od miesiący nie bała się tego, co przyniesie jutro. Nie bała się przyszłości, wyborów, które będzie musiała podjąć. Miała czas. Luksus, o którym myślała, że już nigdy nie będzie jej dany.

W nocy, gdy zgasły światła na oddziale i szpital pogrążył się w ciszy, Justyna leżała, wsłuchując się w miarowy dźwięk swojego oddechu. Życie. Tak proste słowo, a tak pełne znaczenia. Oddech za oddechem, dzień za dniem, rok za rokiem. Wszystko to było teraz możliwe.

Z tą myślą zasnęła, spokojnie i głęboko, bez bólu, bez strachu, z nadzieją, która wypełniała jej serce jak światło rozpraszające najgłębsze cienie.

Rozdział XII

Dziewiątego dnia po operacji Justyna obudziła się z uczuciem, że wreszcie odzyskuje kontrolę nad swoim ciałem. Drożdżycza nadal sprawiała jej dyskomfort, ale dzięki lekom i maści ból był bardziej znośny. Obrzęk mózgu wyraźnie ustępował, a wraz z nim mijały zawroty głowy i zaburzenia wzroku. Nawet jej wychudzone kończyny wydawały się bardziej posłuszne, gdy próbowała wykonywać proste ćwiczenia pokazane przez doktora Wiśniewskiego.

Gdy pielęgniarka przyniosła jej śniadanie, Justyna po raz pierwszy od operacji zdołała zjeść niemal całą porcję — jogurt, tost z masłem i słaba herbata smakowały jej jak najwykwintniejsze dania, a przyjemność płynąca z samodzielnego jedzenia była nieporównywalna z niczym, czego wcześniej doświadczyła.

— Pan doktor Wiśniewski dziś nie przyjdzie — powiedziała pielęgniarka, zbierając tacę po śniadaniu. — Ale przysłał kolegę z oddziału rehabilitacji. Podobno specjalizuje się w rehabilitacji pacjentów po operacjach neurochirurgicznych.

— Dobrze — odpowiedziała Justyna, ciesząc się na myśl o kolejnej sesji rehabilitacyjnej. Wczorajszy spacer do łazienki, mimo zmęczenia, dał jej poczucie sprawczości, którego tak bardzo jej brakowało.

Około jedenastej do jej sali zapukał mężczyzna. Był starszy od doktora Wiśniewskiego, zapewne po pięćdziesiątce, z siwiejącymi włosami przystrzyżonymi na krótko i bystrymi, uważnymi oczami. Ubrany był w zwykły, biały fartuch lekarski, bez żadnych oznaczeń czy identyfikatora.

— Dzień dobry, pani Justyno — przywitał się, wchodząc do sali. — Nazywam się Marek. Przychodzę w zastępstwie doktora Wiśniewskiego. Mam przeprowadzić z panią dzisiejszą sesję rehabilitacyjną.

Justyna uśmiechnęła się do mężczyzny. Było w nim coś kojącego, budzącego zaufanie. Emanował spokojem i pewnością siebie, która nie była arogancka, lecz raczej uspokajająca.

— Dzień dobry — odpowiedziała. — Miło mi pana poznać. Wczoraj robiłam pierwsze kroki do łazienki i z powrotem.

— Tak, wiem — odparł z ciepłym uśmiechem. — Adam... to znaczy, doktor Wiśniewski, opowiadał mi o pani postępach. To imponujące, że zaledwie tydzień po tak poważnej operacji mózgu jest pani gotowa do aktywności.

Justyna wzruszyła ramionami, lekko zawstydzona pochwałą.

— Po prostu chcę wrócić do normalnego życia — powiedziała szczerze. — Do pracy, do domu, do zwykłych spraw.

— To zrozumiałe — przytaknął mężczyzna, przysuwając się bliżej łóżka. — Jeśli pozwoli pani, chciałbym najpierw przeprowadzić kilka prostych badań neurologicznych, zanim przejdziemy do ćwiczeń.

Przez następnych kilka minut wykonywał te same testy, które wcześniej przeprowadzał doktor Birski — sprawdzał jej reakcje źrenic na światło, koordynację ruchową, czucie w kończynach, siłę mięśni. Jego ruchy były pewne, precyzyjne, ale jednocześnie delikatne.

— Doskonale — powiedział w końcu. — Pełna funkcja neurologiczna powraca w imponującym tempie. Myślę, że dziś możemy pójść o krok dalej niż wczoraj. Może spróbujemy krótkiego spaceru po korytarzu?

Justyna poczuła przyływ adrenaliny na myśl o wyjściu poza swoją salę.

— Naprawdę? — zapytała z nutą niedowierzania. — Myśli pan, że dam radę?

— Jestem tego pewien — odpowiedział z uśmiechem, który dodał jej odwagi. — Będę cały czas przy pani, a jeśli poczuje pani zmęczenie, natychmiast wrócimy. Ale wierzę, że jest pani silniejsza, niż się pani wydaje.

Z jego pomocą Justyna powoli wstała z łóżka. Tym razem zawroty głowy prawie nie wystąpiły, a nogi, choć wciąż słabe, utrzymały ją bez większych problemów. Mężczyzna podał jej szlafrok, który zarzuciła na ramiona, zakrywając szpitalną koszulę.

— Gotowa? — zapytał, oferując jej swoje ramię dla wsparcia.

Justyna kiwnęła głową, czując nagły przyływ determinacji. Krok za krokiem, powoli, ale pewnie, przeszła przez pokój do drzwi, a potem wyszła na szpitalny korytarz.

Świat poza jej salą był zadziwiająco żywy i kolorowy po tygodniu spędzonym między tymi samymi czterema ścianami. Pielęgniarki krzątały się wokół stanowiska, pacjenci spacerowali powoli, wspierani przez rodziny lub personel, lekarze przechodzili szybkim krokiem z jednej sali do drugiej.

Justyna zauważyła, że kilka osób — głównie pielęgniarek i innych pracowników szpitala — przystanęło na ich widok. Niektórzy szeptali coś do siebie, inni uśmiechali się, jakby widok Justyny spacerującej po korytarzu był jakimś niezwykłym wydarzeniem. Nawet pacjenci z innych sal wychylali głowy, by na nią spojrzeć.

— Czy coś jest nie tak? — zapytała cicho swojego towarzysza, zdezorientowana tymi reakcjami.

— Nie — odpowiedział z uśmiechem. — Po prostu pani przypadek wzbudził sporo zainteresowania w szpitalu. Niecodziennie ktoś przechodzi taką operację i wraca do zdrowia w tak imponującym tempie.

Justyna nie była do końca przekonana tym wyjaśnieniem, ale postanowiła skupić się na spacerze. Z każdym krokiem czuła się pewniej, choć nogi wciąż były słabe, a oddech przyspieszony.

— Jak długo pracuje pan w rehabilitacji? — zapytała, by zająć czymś myśli poza wysiłkiem fizycznym.

Mężczyzna uśmiechnął się enigmatycznie.

— Od wielu lat interesuje mnie, jak pomagać pacjentom po operacjach neurologicznych wrócić do pełnej sprawności — odpowiedział wymijająco. — Każdy przypadek jest inny, każdy pacjent wyjątkowy. Ale są pewne zasady, pewne wzorce, które się powtarzają.

Przeszli może dwadzieścia metrów, gdy Justyna poczuła, że siły ją opuszczają. Nogi zaczęły drżeć mocniej, a oddech stał się płytki i szybki.

— Muszę... odpocząć — powiedziała, zatrzymując się.

— Oczywiście — odparł natychmiast jej przewodnik, wskazując pobliską ławkę ustawioną przy oknie. — Usiądźmy na chwilę.

Gdy siedzieli na ławce, Justyna zauważyła, że korytarz nagle się zappełnił. Pielęgniarki, lekarze, nawet personel sprzątający — wszyscy znaleźli jakiś pretekst, by przejść obok nich, zerkając z zaciekawieniem. Kilka osób uśmiechnęło się do jej towarzysza z wyraźnym szacunkiem.

— Jest pan tutaj sławny? — zapytała wprost, zaintrygowana tymi reakcjami.

Mężczyzna zaśmiał się cicho.

— Pracuję tu od wielu lat — odpowiedział dyplomatycznie. — Ludzie mnie znają.

Gdy odzyskała siły, pomogli jej wrócić do sali. Tym razem szła pewniej, świadoma własnego ciała i jego ograniczeń.

— Mam dla pani kilka ćwiczeń, które może pani wykonywać sama — powiedział mężczyzna, gdy już siedziała wygodnie na łóżku. — Proste ruchy, które pomogą odbudować siłę mięśni i poprawić koordynację.

Przez następne dwadzieścia minut pokazywał jej serię ćwiczeń — od prostych ruchów dłoni i stóp, przez zginanie i prostowanie kolan i łokci, aż po delikatne skręty tułowia. Wszystko objaśniał cierpliwie, z uwagą oceniając, jak jej ciało reaguje na każdy ruch.

— Najważniejsza jest regularność — wyjaśnił. — Lepiej ćwiczyć po kilka minut kilka razy dziennie, niż robić wszystko naraz i się przemęczać.

Justyna przytaknęła, chłonąc każde słowo. W tym mężczyźnie było coś, co budziło jej zaufanie — jakby każde jego zdanie, każda rada, miały za sobą lata doświadczenia i wiedzy.

— Dziękuję — powiedziała szczerze, gdy kończył demonstrację ostatniego ćwiczenia.

— Za poświęcony czas i za rozmowę. To wiele dla mnie znaczy.

— To dla mnie przyjemność móc pani pomóc — odpowiedział, a w jego oczach pojawił się ciepły błysk. — Pani przypadek jest... inspirujący. To właśnie takie historie przypominają nam, lekarzom, dlaczego wybraliśmy ten zawód.

Gdy wstał, by się pożegnać, Justyna zauważyła, że za otwartymi drzwiami jej sali zebrała się spora grupa personelu szpitalnego — pielęgniarki, młodzi lekarze, nawet portier, którego kilkakrotnie widziała przy wejściu na oddział. Wszyscy patrzyli na jej gościa z mieszaniną podziwu i ciekawości.

— Dziękuję raz jeszcze — powiedziała, wyciągając dłoń na pożegnanie. — Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

— Jestem pewien, że tak — odpowiedział, ściskając jej rękę. — Proszę pamiętać o regularnych ćwiczeniach. I o tym, że powrót do zdrowia to nie sprint, a maraton.

Z tymi słowami wyszedł, a korytarz na zewnątrz nagle ożył szeptami i ruchem, gdy wszyscy obserwatorzy starali się zachować pozory, że wcale nie czekali na zakończenie jego wizyty.

Justyna przez chwilę siedziała na łóżku, zastanawiając się nad dziwnym zachowaniem personelu. Co było takiego niezwykłego w wizycie rehabilitanta? Dlaczego wszyscy wydawali się tak podekscytowani?

Kilka minut po wyjściu tajemniczego mężczyzny do jej sali wpadła pielęgniarka — ta sama, która zajmowała się nią od początku pobytu na oddziale. Jej policzki były zarumienione, a oczy błyszczały z podniecenia.

— I jak było? — zapytała, podchodząc do łóżka Justyny. — O czym rozmawialiście?

Justyna zmarszczyła brwi, zdezorientowana.

— O rehabilitacji, o ćwiczeniach... — odpowiedziała niepewnie. — Dlaczego pytasz? Czy coś jest nie tak?

Pielęgniarka spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— Nie poznałaś, kto to był? — zapytała, a jej głos podniósł się o oktawę.

— Przedstawił się jako Marek, rehabilitant... — zaczęła Justyna, ale pielęgniarka już kręciła głową z niedowierzaniem.

— To był profesor Marek Harat! — powiedziała z wypiekami na twarzy. — Jeden z najwybitniejszych neurochirurgów w Polsce! Znany jest jako lekarz od cudów! Wielokrotnie w swojej dziedzinie był pionierem i przeprowadzał operacje, które inni nazywali szaleństwem.

Justyna patrzyła na nią z niedowierzaniem.

— Ten... ten mężczyzna? Ale dlaczego miałby udawać rehabilitanta? I dlaczego miałby się mną zajmować?

— Przez lata jego pacjentami było wielu znanych sportowców — kontynuowała pielęgniarka, ignorując jej pytania. — Najsłynniejszym przypadkiem jest Tomasz Gollob, były mistrz świata w żużlu, który miał poważny wypadek. Profesor Harat operował go, gdy inni nie dawali szans...

Justyna słuchała z rosnącym zdumieniem, próbując pogodzić wizerunek spokojnego, skromnego mężczyzny, który właśnie prowadził ją po korytarzu, z opisem wybitnego neurochirurga, pioniera w swojej dziedzinie.

— Ale dlaczego... — zaczęła ponownie, ale pielęgniarka znów jej przerwała.

— Przyszedł zobaczyć tę słynną dziewczynę, która oszukała śmierć — powiedziała z błyskiem w oku. — Twój przypadek już jest legendarny w szpitalu. Guz, który inni uznali za nieoperacyjny, udany zabieg doktora Birskiego, a teraz wyniki histopatologiczne, które okazały się tak nieoczekiwanie dobre... To historia, o której będą uczyć studentów medycyny!

Justyna poczuła, jak jej policzki płoną. Myśl, że stała się rodzajem medycznej ciekawostki, obiektem zainteresowania wybitnych specjalistów, była jednocześnie zawstydzająca i dziwnie satysfakcjonująca.

— Nie wiedziałam... — powiedziała cicho. — On był taki... normalny. Skromny. Rozmawiał ze mną jak zwykły lekarz.

— To właśnie Harat — odparła pielęgniarka z uśmiechem. — Wielu wybitnych specjalistów to nadęte bufony. Ale nie on. Zawsze ma czas dla pacjentów, zawsze traktuje ich z szacunkiem. To dlatego jest tak uwielbiany przez cały szpital. To prawdziwa legenda neurochirurgii.

Przez resztę dnia Justyna rozmyślała nad tą nieoczekiwaną wizytą. Próbowwała przypomnieć sobie każde słowo, każdą radę "rehabilitanta", który okazał się wybitnym neurochirurgiem. Czowała dziwną mieszankę dumy i zakłopotania — dumy, że ktoś tak ważny poświęcił jej swój czas, i zakłopotania, że nie rozpoznała go, nie okazała należytego szacunku.

Wieczorem, gdy wykonywała ćwiczenia zalecone przez profesora Harata, do jej sali zajrzał doktor Birski. Jego twarz wyrażała mieszaninę rozbawienia i zakłopotania.

— Słyszałem, że miała pani dzisiaj niezwykle gościa — powiedział, siadając na krześle przy jej łóżku.

Justyna uśmiechnęła się nieśmiało.

— Tak... Nie miałam pojęcia, kim on jest. Myślałam, że to zwykły rehabilitant.

Birski zaśmiał się cicho.

— Profesor Harat ma takie podejście. Woli rozmawiać z pacjentami bez całej tej otoczki sław i autorytetów. Uważa, że wtedy łatwiej nawiązać prawdziwą relację.

— Dlaczego przyszedł? — zapytała Justyna, wciąż nie rozumiejąc, czym zasłużyła na zainteresowanie takiej medycznej znakomitości.

Doktor Birski przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, jakby zastanawiając się, ile może powiedzieć.

— Pani Justyno — zaczął w końcu, pochylając się lekko. — Być może nie zdaje sobie pani sprawy, ale pani przypadek jest... niezwykły. Nie tylko dlatego, że guz został uznany za nieoperacyjny przez kilku innych specjalistów. Nie tylko dlatego, że operacja się udała. Ale przede wszystkim dlatego, że histopatologia wykazała coś zupełnie innego, niż sugerowały wszystkie wcześniejsze badania obrazowe.

— Co to znaczy? — zapytała Justyna, czując, że jest tu coś więcej, coś, czego jeszcze jej nie powiedziano.

— To znaczy, że gdybyśmy wierzyli tylko w obrazy, w badania, w statystyki, nigdy nie podjąłbym się tej operacji — wyjaśnił Birski. — Wszystkie dane sugerowały glejaka wielopostaciowego czwartego stopnia. Nieoperacyjnego, śmiertelnego. Ale coś... coś kazało mi spróbować mimo wszystko.

Justyna poczuła, jak dreszcz przebiega jej po plecach.

— Instynkt lekarza? — zapytała cicho.

Birski wzruszył ramionami, ale jego oczy mówiły coś więcej.

— Nazwijmy to tak — odpowiedział. — W każdym razie, profesor Harat interesuje się takimi właśnie przypadkami. Tymi, które wymykają się logice medycznej, statystykom, podręcznikom. Tymi, które pokazują, że medycyna to nie tylko nauka, ale i sztuka. A czasem... czasem może nawet coś więcej.

Justyna przypomniała sobie ich rozmowę przed operacją, gdy zapytała go, czy wierzy. Jego odpowiedź wskazywała na coś więcej niż tylko naukowe podejście do medycyny.

— Rozumiem — powiedziała, choć nie była pewna, czy rzeczywiście rozumie. Czy jej przypadek był cudem medycznym? Dziełem przypadku? Czy może interwencją siły wyższej, w którą modliła się tak desperacko?

— W każdym razie — kontynuował Birski, prostując się — profesor Harat był pod wrażeniem pani postępów. Powiedział, że pani duch walki i determinacja są godne podziwu. I że spodziewa się pełnego powrotu do zdrowia w ciągu najbliższych miesięcy.

Justyna poczuła ciepło rozlewające się w jej sercu. Te słowa, pochodzące od kogoś o takiej reputacji, były jak najbardziej oficjalne potwierdzenie tego, w co zaczynała wierzyć — że naprawdę ma szansę wrócić do normalnego życia.

— Dziękuję za tę informację — powiedziała szczerze. — I... przepraszam, że nie rozpoznałam profesora Harata. Musiał pomyśleć, że jestem kompletnie nieświadoma.

Birski zaśmiał się serdecznie.

— Wręcz przeciwnie. Powiedział, że to było orzeźwiające — rozmawiać z pacjentką, która traktowała go jak normalnego człowieka, a nie jak celebrytę. Myślę, że właśnie dlatego tak często udaje zwykłego lekarza.

Gdy doktor Birski wyszedł, Justyna poczuła, jak nowa energia wypełnia jej ciało. Ćwiczenia zalecone przez profesora Harata wydawały się teraz jeszcze ważniejsze, jeszcze bardziej wartościowe. Wykonywała je z nowym zapałem, mimo zmęczenia mięśni i drobnych bólów.

Wieczorem, gdy leżała w łóżku, przygotowując się do snu, myślała o wszystkich niezwykłych ludziach, których spotkała na swojej drodze przez chorobę. Ewa Minge, popularna projektantka, która stała się jej przyjaciółką. Doktor Birski, neurochirurg, który odważył się zrobić to, czego inni się bali. A teraz profesor Harat, legendarny specjalista, który poświęcił swój czas, by osobiście ocenić jej stan i zalecić rehabilitację.

Czy to możliwe, że całe to cierpienie, strach i ból miały jakiś cel? Że były częścią większego planu, który prowadził ją do tych spotkań, do tych relacji, do nowego spojrzenia na życie?

Nie знаła odpowiedzi na te pytania. Ale po raz pierwszy od bardzo dawna czuła, że jest częścią czegoś większego, czegoś, co wykraczało poza jej małe, codzienne troski. Że jej historia miała znaczenie nie tylko dla niej, ale może także dla innych — dla lekarzy, którzy się od niej uczyli; dla pacjentów, którym jej przypadek mógł dać nadzieję; dla wszystkich, którzy słysząc o niej, zaczęli wierzyć, że cuda — czy to medyczne, czy duchowe — są możliwe.

Z tą myślą zasnęła, a jej sny po raz pierwszy od miesięcy były jasne, spokojne i pełne nadziei.